

No i co rektorku?

2 sierpnia 2009

Głowy uczelni i ich liczne kłopoty z prawem.

Profesor Antoni J. był rektorem Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Jarosławiu i w 2005 r. wybierał się do Senatu. Zawodową pomyślność przerwał studencina, do którego profesor się dobierał. Prokurator opisał zdarzenie jako przyjęcie korzyści osobistej poprzez doprowadzenie studenta do obcowania płciowego.

Jak się komuś znaczącemu powinie noga, spada na niego lawina. Tak było i w tym przypadku. Oskarżono rektora o pobieranie kasy za pomoc przy otwieraniu i zamykaniu przewodów doktorskich, wykorzystanie uczelnianych pieniędzy w kwocie 44 tys. zł na kampanię wyborczą do parlamentu, zdefraudowanie 230 tys. zł oraz stosowanie gróźb karalnych wobec dziennikarki.

Oprócz problemów z prawem, rektor zaczął mieć problemy ze zdrowiem, do tej pory nie zapadł więc prawomocny wyrok. Obecnie proces toczy się przed krakowskim sądem. Zawsze w dniu, w którym wypada wokanda, Antoni J. czuje się źle i zgłasza do szpitala. Jak się skończyło 70 wiosen, niedomaganie to nie jest jakaś hipochondria, medycy z kolejnych lecznic piszą więc usprawiedliwienia. Kolejnego dnia pacjent czuje się lepiej, do czego ma prawo i na własne żądanie opuszcza szpitalne mury.

Jakiś czas temu pan Antoni J. wybrał się na przejażdżkę swoim volkswagenem golfem i nie zatrzymał do policyjnej kontroli. W następnej miejscowości minął chodnikiem policyjną blokadę, ściał znaki drogowe i uszkodził samochód. Włos mu z głowy nie spadł, chociaż prawo jazdy stracił jakiś czas temu, ma sądowy zakaz prowadzenia pojazdów mechanicznych na 3 lata, golf stanowi zabezpieczenie majątkowe na poczet przyszłych kar i jego dowód rejestracyjny leży w sejfie sądowym.

Niedawno krakowski sąd, do którego były rektor nie może dotrzeć z powodu złego stanu zdrowia, wydał za nim list gończy. Poszukiwała go też rzeszowska prokuratura, która podejrzewa, że nakłaniał świadków do składania fałszywych zeznań. Prowadzi śledztwo w tej sprawie.

8 czerwca 2009 r. podkarpackie media świętowały sukces. Policja zatrzymała jego omnipotencję w przydworcowym barze w Rzeszowie, bo zwrócił uwagę innych smakoszy piwa okrzykami, że się tym chujom nie da i do paki nie pójdzie.

11 czerwca 2009 r. został zwolniony z aresztu. Rzeszowskie „Supernowości” zasugerowały, że interweniował ktoś z góry. Podniosły, że doktorantką naszego bohatera była Zyta Gilowska i doktorantem wojewoda podkarpacki Mirosław Konopyta, a za jego przyjaciela uważa się tatko Rydzyk.

Powiedziano mi w rzeszowskiej prokuraturze, że nie chodzi o znajomości rektora, a nawet nie o jego stan zdrowia. Antoni J. został zwolniony z aresztu, ponieważ prokurator wykonał wszystkie czynności, do których był potrzebny. Czyli przesłuchiwał go na okoliczność sterowania zeznaniami bliźnich. List gończy wystawiony przez krakowski sąd, owszem, istnieje, ale nie mógł być powodem do dalszego przetrzymywania, bo nie został jeszcze skierowany do realizacji.

Antoni J. to nie jakiś rodzynek wśród coraz liczniejszej społeczności rektorów.

Kilka lat temu Wyższa Szkoła Dziennikarska im. Wańkowicza w Warszawie oskarżyła rektora o przywłaszczenie 10 mln zł. Jego magnificencja nie bawił się w żadne gierki. Miał przelać 7, 2 mln zł na konto swojej spółki. Ponadto za pieniądze szkoły wybudował luksusowy apartament na poddaszu mieszczącego się na Nowym Świecie gmachu uczelni, gdzie zamieszkał. Nielegalnie, bo planowano tam ulokować bibliotekę dla studentów. Gdy przestał być rektorem, pozwał szkołę do sądu. Chciał odzyskać apartament, bo przecież był w nim zameldowany.

Niedawno organy ścigania zajmowały się Śląskim Uniwersytetem Medycznym w Katowicach. Prokuratura oskarżyła byłego rektora oraz dwóch jego najbliższych współpracowników o przeputanie blisko 50 mln zł. Większość to kredyty zaciągnięte na inwestycję, która nie ma szans zostać skończona. Do tego drobiazgi. Powierzono zastępstwo inwestycyjne powołanej w tym celu spółce bez zgody ministra zdrowia. Kupiono budynek w centrum miasta za cenę zawyżoną o 5 mln zł. Władze uczelni nie zamówiły własnego operatu szacunkowego i zapłaciły, ile żądano, bo miały kaprys przenieść rektorat. Na nowych śmieciach rezydowały krótko. Kolejny rektor wolał stary adres.

Mniej bolesny cios spotkał rektora uniwersytetu w Rzeszowie, który trafił na ławę oskarżonych za błahostkę. Nie zechciał przywrócić do pracy naukowca, choć tak nakazał sąd i uporczywie trwał przy swoim.

Najzabawniej jest w Białymstoku. Przed tutejszym sądem pracy toczy się proces, który wytoczył miejscowej politechnice były rektor. Uczelnia nie wypłaca mu podwyżki, którą de facto sam sobie przyznał na dwa dni przed zakończeniem urzędowania. Nazbierało się 15 tys. zł.

Decyzję o podwyżce podpisał prorektor, choć powinien minister. Powołano się w niej na niewłaściwy paragraf ministerialnego rozporządzenia.

– Nie wypłaciliśmy tych pieniędzy, bo roszczenie jest bezprawne – uważa urzędujący rektor.

Były rektor zapewnił, że pieniądze mu się należą, z tym że nie chodzi o szmal, ale o honor. Cała sprawa jest honorowa.

Po objęciu władzy nowy rektor Politechniki Białostockiej zlecił przygotowanie „Raportu o stanie uczelni”. Wśród grzechów przypisywanych poprzedniemu rektorowi wielotysięczne podwyżki przyznane wybrancom z naruszeniem prawa, zatrudnienie na stałą umowę o pracę mieszkańca Kanady, który bywał w Białymstoku przez kilka tygodni w roku, nepotyzm. Nie wchodzę

w szczegóły dotyczące remontów i zakupu mieszkań przez uczelnię, bo nie jestem w stanie ocenić, czy podniesione wątpliwości są zasadne. Chodzi o olbrzymie kwoty, niezależnie od efektu tutejsza prokuratura będzie więc miała pełne ręce roboty.

Te przykłady dowodzą, że nie ma co się przywiązywać do wyrażanego przez naród przekonania, że profesor uniwersytecki z natury rzeczy jest poza podejrzeniem, bo ma najwyższy prestiż i zaufanie. To taki sam gość, jak inni, często zmanierowany poczuciem własnej wartości i bezkarności.

Państwo próbuje coś z tym zrobić. Ingeruje w proces dydaktyczny, kombinuje przy rekrutacji, co słusznie budzi opór zainteresowanych.

A wystarczyłoby posłuchać studentów, którzy w celu ściągnięcia profesorstwa na ziemię chcą poddać ocenie ich wiedzę, użyteczność i kulturę osobistą, sprawdzić, czy gadają po angielsku i przebrną egzamin z podstaw peceta. Komputerowe wymagania nie są duże. Wystarczy, żeby elita narodu potrafiła napisać i odebrać e-maila, wydrukować pismo, streścić w Wordzie jakiś artykuł z Wikipedii, posłużyć się USB i wypalić płytkę DVD.

Autor: Bożena Dunat

Źródło: [„Nie” nr 26/2009](#)